

Jeżeli chodzi o ewakuację to wygnano nas z więzienia w Mińsku w nocy z 24 na 25 czerwca 1941r. Wychodziliśmy właściwie już 25 czerwca rano. Kobiety i więźniów z niższych pięter i bloku III nazywanego "Koniusznią" wygnano jako pierwszych dużo wcześniej. Moją ostatnią celą w tym więzieniu była cela Nr.89 albo 98. Byłem w obu, więc nie pamiętam dokładnie, która z nich była tą ostatnią.

Nazywam się Piekarski Aleksander urodzony 14 lutego 1920r.. Do czasu aresztowania mieszkałem w Kubrzanach. To była wioska koło Jedwabnego. Aresztowany zostałem 25 lipca 1940r. rano na terenie gospodarstwa mego dziadka, gdzie ukrywałem się po aresztowaniu ojca. Przywieziono mnie do NKWD w Jedwabnem. To było nie daleko - jakieś 5 km. Ukrywałem się, bo ojca aresztowano 1 lipca 1940r. Ojciec nigdy z więzienia do domu nie powrócił. Nie ma po nim śladu. Ojciec miał na imię Walery. Należaliśmy razem do partyzantki, która była na KOPILNEM na Błotach Biebrzańskich. Tam był sztab. Aresztowania nastąpiły na skutek zdrady. Zabrano wszystkie dokumenty. Ruskie przyszli, zaatakowali nas i wybierali jak raki z saka. Od czasu jak ojca aresztowali, to ja się ukrywałem, bo było wiadomym, że już się coś dzieje. My wszyscy wiedzieliśmy. Nie tylko ja się ukrywałem. W ogóle w naszych stronach dużo się ukrywało. Rosjanie zawsze mieli swoje wtyczki i wiedzieli gdzie kto się znajduje. Gdy mieli kogoś aresztować otaczali całą wioskę. W moim przypadku sąsiad podał gdzie ja jestem, bo on widział jak kosikiem u dziadka zboże. U nas zboże kosił stryj - ojca brat. Ten sąsiad powiadomił NKWD i przyprowadził z Kubrzan przewodniczącego NKWD. pod dziadka dom. Otoczyli całą wioskę, gdy ja tam byłem. W nocy była straszna burza i padał deszcz, więc nie byłem w polu, a zastali mnie w budynku. Gdyby była pogoda to by mnie nie złapali.

Po aresztowaniu przywieźli nas do Jedwabnego. Ja w Jedwabnem nie byłem na przesłuchaniu. Do Jedwabna przywieziono nas kilku - chyba sześciu to byli moi koledzy. W sumie aresztowanych było około 19 osób. Ich przesłuchiowano. Moja kolej na przesłuchanie nie doszła. Niektórzy już w Jedwabnem zostali przywitani przez NKWD. Ja nie zostałem wezwany na przesłuchanie. Zrobiło się późno i zagnano nas do piwnicy, a przed zachodem słońka wsadzili nas na samochód i wieczorem przywieźli do Białegostoku do więzienia. W Białymstoku po przyjęciu do więzienia znalazłem się w celi. Tej celi nie pamiętam, bo siedziałem tam tylko 6 tygodni. To była cela po dawnym ambulansie. Było tam nawet wygodnie, bo spało się na podłodze na deskach. Nie było zimno, a nawet było za gorąco. Ale znów była inna bieda, bo całe 6 tygodni nie było łaźni i robactwo łaźniło na piechotę pomiędzy nami.

żeby wespolej było siedzieć. Zostęgo z tej małej celi - tam siedzia-
ło nas osiemnastu osób - w Białymstoku przerzucili mnie do dużej
celi i tam spotkałem kolegów: ze swojej strony, znaczny się znajomych,
nie tych, którzy byli razem ze mną aresztowani ale moich dawnych
znajomych. Nazwiska pamiętam tylko dwóch: Bagiński Aleksander, to
był z Ramot. On jeszcze żyje. Powinien był wracać razem ze mną ale
on potem siedział w innych celach. Drugi to był Karwowski Aleksander
z Chilin, ale on już prawdopodobnie nie żyje. W tej dużej celi prze-
siedziałem tydzień czasu czy może dwa. Okropny tam był brud.

W naszej celi było jeszcze względnie. Czwartego wyprowadzili nas
z celi i wywieźli na stację. Była okazja do ucieczki, ale nie znając
stacji białostockiej strach było się ruszać. Ich było dwóch, a nas
szło może z dziesięciu. Przechodziliśmy pod wagonami, ale strach by-
ło ryzykować nie znając stacji, bo to było już wieczorem, gdy było
ciemno. Jechaliśmy dwa dni i dwie noce z Białegostoku do Mińska. Po
ciąg co podjechał kawałek to stawał. Najdłużej stali my na stacji
w Stołpcach. Tam najdłużej staliśmy i 6 września znalazłem się
w Mińsku. Wszyscy się tam znaleźliśmy. W przedziałach nie wszyscy
byli znajomymi, ale później, gdy przyjechaliśmy do Mińska, gdy przy-
prowadzono nas do wielkiej celi, gdzie przyjmowano przyjezdnych,
w tzw. "cygance" / po lewej stronie była taka cela - przejściówka,
taka wielka "cyganka" wsparta na wielkim słupie. Tam siedzieliśmy
żeby nas porozdzielali po celach. Siedzieliśmy kilka godzin oczeku-
jąc, żeby w kancelarii nas porozdzielali. Po i później pierwsza ce-
la, której numer dobrze zapamiętałem, bo siedziałem w niej pół roku.
Całe sześć miesięcy tam przesiedziałem. Właściwie więcej niż pół
roku, bo sześć miesięcy spałem na cemencie a półtora miesiąca na
łożku, gdy miejsce się zwolniło bo było przetasowanie. W tej celi
numer 126 siedziałem najdłużej. Z tej celi pamiętam wszystkie nazwi-
ska co do jednego. Siedział ze mną na łożku, do którego ja miałem
przydział / polegało to na tym, że mogłem przyjść posiedzieć / Litwin
co się nazywał Awerka Józef. Ten może jeszcze żyć. To był chłop w wie-
ku 23-24 lat. A drugi to był stolarz Karociej Piotr. Obaj byli z Mar-
cińkańców. Marcińkańce to wieś na kresach. On nie żyje, bo to był fa-
cet około 50-tki. Na drugim łożku znów spał Karniewicz Albert.
On był z Mołodeczna, raczej z okolic Mołodeczna. Z samego Mołodeczna
to on nie był. Siedział tam też Niemiec Gustaw Schlosser i Grzybowski
Jan z Lidy. Ten ostatni to był pan w wieku lat czterdziestu kilku.
On był w straży pożarnej w Lidzie przy jednostce wojskowej przy
lotnisku. Był w straży, która opiekowała się lotniskiem.

W tej celi było zatręśienie Janów. Później z nim siedział Jabłoński

Fiotr pochodzący ze stacji Czerwony Bór koło Żomży. Taka wioska koło stacji, której nazwy nie pamiętam. Na czwartym łożku mieszkał Dobrowolski - chyba też Jan - z okolic Kołodeczna. To był gospodarz - nie gospodarz. Z nim spał razem Tarasiewicz. I znów Jan. Zatręsienie Janów. On był w 1939r. na wojnie. Siedział w żołnierskim mundurze. On mógł mieć 24-26 lat. I był gdzieś z okolic Baranowicz. Oni wszyscy mieszkali niedaleko Kołodeczna i dogadywali się znając swoje strony. Kilku nas spało na podłodze: spałem ja, spał Bzura Andrzej z miejscowości Kuce koło Jedwabnego /Kuce Małe/. I sąsiad z tej wioski gdzie ja się urodziłem - Polkowski Stanisław. On już nie żyje. Spaliśmy obaj razem, bo on nie miał żadnego okrycia a mnie jedynie cudem nie zabrali kołucha. On pochodził z Karwowa, a ja z Lubrzan, ale urodziłem się w Karwowie. Siedział ze mną jeszcze jeden Niemiec - przyszedł później. Nazywał się Gustaw Schlosser z Westfalii - to ten pierwszy, który siedział za szpiegostwo. Później Ruskie go zastrzelili, bo on był cwaniak i jak nas wyganiali to on udawał chorego. Miał około 30-32 lata. Tych, których wymieniłem do tej pory zastałem w celi a drugi Niemiec przyszedł po mnie. Nazywał się Erick Scheinauch. Był jeszcze Francuz René Massin, po ojcu Amadynowicz. Ojciec miał na imię Amadeusz. Siedział też ze mną chłopak, który nazywał się Mojse - Polak. I było tak, że jak przyszli dozorczy i powiedzieli "kto zdzieś na bukwu "M", to Mojse się zgłosił. Wtedy mu powiedzieli: "dawaj z wie-szczami". Zabrali Polaka i pojechali do Francuskiego obozu na południe Rosji. Za pięć dni Mojse wpadł do celi, bo go dozorczy wepchnęli i dopiero wtedy zabrali Francuza. Imienia Mojse nie pamiętam. Ci po ze mną siedzieli, to byli z pod celi 126 i ja ich wszystkich pamiętam. Był jeszcze Litwin, młody chłopak ale on był tylko dwa albo trzy dni i jego nazwiska nie zapamiętałem. Awerko uczył się przed wojną w liceum i po polsku dobrze mówił, ale pisaliśmy na ścianach po litewsku, bo szukali swoich rodaków. Nie pisali kto jest z Marcińkańców, tylko "kas is Marcinkancach". W celi 126 siedziałem długo. Wiedziałem, że ojciec jest w więzieniu. Po pewnym czasie pod koniec wiosny do sąsiedniej celi 125 wrzucili mojego ojca. Siedzieliśmy przez ścianę ale zobaczyć się nie było można. Wiedziałem go przez szparę w drzwiach jak przechodził do łazienki, bo przechodził koło naszej celi, ale o żadnej rozmowie nie mogło być mowy. Pisaliśmy do siebie kartki i zostawialiśmy je w łazience. Wszyscy ci ludzie co siedzieli ze mną byli podejrzewani o wrogosć do ZSRR i przynależność do ni legalnej organizacji. Tuż przed moim odcjściem z celi 126 dali do naszej celi Rosjanina.

Nie pamiętam jego imienia, ale nazwisko było Farenkow. W Łwanowsku był zakład dziewiarski, w którym on pracował a w wojsku służył na Białej Łorusi. i Polacy go przekabacili, żeby wstąpił do polskiej partyzantki. Ich przywieźli czterech lub pięciu. On siedział ze mną ze dwa miesiące i bardzo się martwił, bo mu groziła kara śmierci. Miał stopień wojskowy starszyna-sierżant. On był ostatnim więźniem, który przyszedł do celi 126 w czasie mojego pobytu. Później nas przegnali do dużego budynku. Tam chodziło się na spacer. Pomieścili mnie w celi chyba 62 - była to cela przejściowa. Nie byłem tam długo. Oprócz mnie wzięli Niemca Gustawa i jeszcze kilku. Przenieśli nas do cel nazywanych "posledstwiennyje", gdzie już było trochę lepiej i można było otrzymać "wypisk". Kto miał "kwitancję" tak jak ja, to mógł robić zakupy. W celi 62 byłem około tygodnia, może trochę więcej. Później znowu rozrzućili po wszystkich celach, tak że ze mną nie poszedł nikt z tych z celi 62. Ja znalazłem się w głównym budynku na górze. Jeśli się nie mylę to była cela 81 lub 82. Tam zastałem swoich kumpli: Karwowskiego Władysława i Chrostowskiego Piotra. Przygotowywali nas do procesu, bo śledztwo kończyło się. W tej celi spotkałem lokatora, który mieszkał w naszym domu. Był to Drogieja Piotr - fotograf z Jedwabnego. Zanim przenieśli mnie z celi 62 na górę, to przebywałem tydzień czasu w celi gazieś na drugim piętrze. Siedziałem tam kilka dni, ale to była taka wesoła cela, bo byli to więźniowie wyłącznie polityczni. Spotkałem tam wielu interesujących ludzi takich jak: Austriak - konstruktor lotniczy, inny Austriak, który nazywał się Süß, to po naszymu jak by "cukier", był też z Austrii aktor i drugi aktor z Warszawy, którego nazwiska zapomniałem ale on jeszcze po wojnie występował w Warszawie. Obaj aktorzy znali się z przed wojny i jak oni się spotkali było bardzo wesoło. Krótko byłem w tej celi, bo było dużo wrażeń. Numeru tej celi nie pamiętam, ale było to przed świętami Wielkiejnocy. To była ciekawa cela. Zostałem tam też przedsiębiorcą z Łomży - Orłowskiego Mariana. Miał odlewnię w Łomży. To był z pochodzenia Żyd, Izraelita, bardzo porządny człowiek. On miał parę tysięcy rubli na "kwitancjach". Miał tych "kwitancji" chyba ze dwadzieścia. Jak była "wypiska" to on dawał innym więźniom te "kwitancje". Na święta dzięki temu przynieśli kupę jedzenia. Niestety długo z nim nie siedziałem, bo mnie przenieśli do celi 81, czy 82. W celi 126 siedział ze mną jeszcze Żyd z Białegostoku. On się fajnie nazywał - Silberfejt /Złoty Pieniążek/. To był syn fabrykanta z Białegostoku. Oni mieli rodzinę w Ameryce i ich zgodzili się wypuścić do Ameryki. Oni wsiadli w Białymstoku do pociągu i pojedli chleba aż do Czuty. Czacie NKWD wzięło ich z powrotem za głowę i przyciągnęło do Mińska całą rodzinę. Ten Żyd siedział ze mną 2-3 tygodnie. On został w celi, gdy mnie przenieśli do innej.

Wróćmy jeszcze do celi 126. Jak ja przespałem tych sześć miesięcy na podłodze i zwolniło się miejsce na łóżku, to przyszedł do nas taki interesujący pan /łóżko się zwolniło, bo odeszli Litwini/. Ten wart wspomnienia człowiek to Leon Jaszczukowski -kapitan "dwójki" ze Stożp-ców. Przywiezli go z Kozielska. Z Kozielska przywieziono 6-ciu oficerów z "dwójki". Ja z panem Leonem spałem i on opowiadał jak siedzieli w klasztorze w Kozielsku i w maju 1940r. ich zaczęli wywozić.

Obiecywali sobie przed rozstaniem, że będą do siebie pisać. Ponieważ nie otrzymywałem żadnej korespondencji, to powiedział kiedyś -podejrzewam najgorsze. Miał pięciu kolegów, ale ze mną siedział tylko on. On mi mówił nazwiska pozostałych, ale niestety nie pamiętam. Jak wróciłem z procesu do celi, to na ścianie celi, w której mnie umieścili znalazłem nazwiska całej szóstki z krzyżykami.

Był jeszcze jeden współwięzień, o którym nie wspomniałem -on pochodził z okolic Lidy. Był głuchy na jedno ucho. W domu została żona i jeden syn. Po powrocie nie mogłem zawiadomić jego żony, bo była okupacja sowiecka a potem niemiecka. Jego syn może jeszcze żyć, pewnie był w moim wieku, bo ten ojciec był po 50-tce.

Z celi 82 przenieśli mnie do celi 88. Tam było mi dobrze, bo poprzednie celi była licha. Żydów z tamtej celi przenieśli do celi 88. Moje śledztwo się ślimaczyło, bo oni chcieli mnie zrobić, ale się nie dałem. Ja nawet nie miałem "ocznej stawki" z ojcem. Z ojcem się w więzieniu nie spotkałem. Ja się tłumaczyłem na swój sposób. W Białymstoku spotkałem się z takim mądrym człowiekiem, wojskowym, w ogólnej celi, który mi powiedział: "Kłam na swój sposób, bo inaczej zginiesz." Ani go nie pamiętam kto on był, wiem tylko, że był wojskowym.

Z tej celi przenieśli mnie już przed samym sądem, przed rozprawą. To w tej celi siedziałem z miesiąc chyba z Przestrzelskim Piotrem.

W tej celi siedział też Bagieński Aleksander ze wsi Ramoty. Powinien jeszcze żyć. Ramoty leżą w gminie Przytuły, łomżyńskie. Że wrócił to ja wiedziałem. Szedł w "marszu śmierci", ale w innej grupie. Przestrzelski szedł ze mną. W tej celi siedział jeszcze z wioski koło Ramot chłopak chory na gruźlicę. Spał obok mnie. Zapomniałem jego nazwisko. Bagieński powinien znać jego nazwisko. Lekarze-więźniowie badali go, ale nie chcieli straszyć. W tej celi 6 x 9 siedziało nas 120. W celach 81 i 82 było nas po 120. W każdej takiej celi było nas zawsze 120 lub 150 więźniów. Ten chłopaczek chory na gruźlicę z "marszu śmierci" do domu nie wrócił. On spał ze mną 2-3 miesiące do rozprawy. Gdy po wojnie Duńczycy szczepili nam gruźlicę, okazało się, że już jestem uodporniony. Potem jeszcze siedzieli ze mną dwaj bracia Sidorowiczowie z Grodna,

którego lubili układać fraszki po biakoruskim. Siedział później również w tej celi także z moich stron Grzegorz z Radziłowa ożeniony z panną z Chilin, z domu Lisniewska. Prowadził warsztat kowalski w Chilinach. On siedział ze mną również po sprawie. W tej celi dobrze się siedziało. Rozprawa była w początkach maja, ale nie utkwiła w mojej pamięci. Dano mi wyrok 8 lat "wysprawiająco-trudowych łagierów".

Siedzieli również ze mną, tylko nie pamiętam w której celi aresztowani z Białegostoku za szpiegostwo na rzecz Niemiec. To nazwisko wywierało mi z głowy, ale ten człowiek zachował się w mojej pamięci. Jego nazwisko Spirtow. Był szpiegiem na rzecz Niemiec i potem, gdy w drodze powrotnej zatrzymało nas Gestapo - to on nas uratował. Gdy 24.06.1941r. bomba rozwalila bramę więzienną, to on uciekł w kajdankach. Pomogli mu żołnierze Rosjanie nakrywając go płaszczem a potem gwoździami rozbili jego kajdanki. Siedziela też jego narzeczona. Gestapo zatrzymało nas gdyśmy wracali do domu, bo Niemcy polecieli wszystkim mężczyznom w wieku 17-65 lat zgłosić się do obozów. Po drodze złapali nas i potem siedziałem w obozie niemieckim, skąd uratował nas Spirtow.

W naszej grupie był: Chrostowski Piotr, Karwowski Władysław, Polkowski Stanisław, Karwowski Seweryn, Zapert Władysław ożeniony z moją sąsiadką - nie żyje już. To było nas sześciu. Rachunek się zgadza.

Dostaliśmy po 3 lat łagrów w oddalonych rejonach ZSRR. Przywieźli nas po wyroku. Po wyroku znalazłem w celi podpisy sześciu kapitanów i przy nazwiskach krzyżyczki. Jeden z nich to siedział ze mną w celi 126 - Jaszczukowski Leon. Już byli po sprawie.

Później to już była cela 89 przy samej ubikacji i tam było dobrze. Racje żywnościowe większe, racje chleba już 700g, był dodatek do obiadu sucha kasza i sucha ryba. W dwa tygodnie po sądzie byłem wezwany do naczelnika i już wiedziałem kto mnie wydał.

W celi 89 była duża ciasnota. Siedzieli już wszyscy po wyroku. Siedziałem tam niedługo. Mając czas w więzieniu nauczyłem się dobrze czytać po rusku. Tam opisali moje personalia. 30.06.1941r. już miałem jechać rąbać drzewo. Najpierw do Kotłasu do punktu rozdzielczego, potem dalej. Tam się siedziało 2 tygodnie, a potem jechało się dalej. Gdy siedziałem w celi przed sądowej to się trafił taki człowiek, którego przywieźli na naoczego świadka z Syberii, żeby go skonfrontować. Jego nazwiska nie pamiętam, tylko on był z Downar za Osowcem - taka wioska Downary. Ja miałem do niego wstąpić. Przejeżdżałem tamtędy za Niemca, ale zrezygnowałem. Jego przywieźli na świadka żeby skonfrontować i on nam opowiadał jak tam jest na Syberii, jak się pracuje, co się robi itd. Wtedy on mi powiedział, że mojego ojca ukłaskawili zamie-

niając karę śmierci na obóz pracy. On się spotkał z moim ojcem w więzieniu, gdzie siedział w piwnicach jako skazany na bardzo ciężkie roboty. To były piwnice w budynku, w którym trzymali skazanych na karę śmierci. Tam wykonywali wyroki na miejscu w Mińsku, a potem w nocy wozili do miejscowości Europaty. On jeździł tym samochodem. On powiedział, że ułaskawili ojca. Ułaskawili jeszcze Kiełczewskiego z Jedwabnego. On był sekretarzem Miejskiej Rady Narodowej /bo była Miejska i Gminna/. Ten Kiełczewski przez 3 noce zrobił się z szatyna biały jak ten obrus. Tak posiwił ze strachu. To on powiedział, że spotkał się z ojcem.

Jeszcze nie wiem czy z Chilin nie żyje Karwowski /Karwowski/. Znałem go z przed wojny. Spotkałem go w transporcie do Mińska, gdy siedzieliśmy w tej "cygance". Wiem dobrze, że on wrócił ale nie wiem w jakiej grupie szedł. Gdy siedzieliśmy w tej cygance to ja się z tym Olkiem Karwowskim spotkałem. Aleksander Karwowski ze wsi Chiliny wrócił do domu. I nas były trzy wioski Karwowo.

W tej ostatniej celi 89 było nas ok. 140 osób. Już było widać, że coś się zdarzy, bo nam wkręcili niebieskie żarówki. Na tydzień przed wojną wiedzieli. Mówią, że oni się nie spodziewali napadu niemieckiego, ale to nieprawda. Oni kłamią. I na tydzień lub dwa przed wojną dali zasłonki na okna. Trzeba je było na noc zapinać na haczyki. Dalej sobie siedzimy, śpimy jak to więźniowie, i w karty gramy i śpiewamy.

No i 30 czerwca 1941r. już się jedzie na roboty, bo nie ma innej rady. Ale 22.06.1941r. coś się zaczyna dziać. Zaczynają chodzić samoloty i zaczyna bić artyleria. Od nas było widać dwie strony: było widać Mińsk miasto, a jak się poszło do ubikacji, to było widać fabrykę zapalczaną i cmentarz i tam stała artyleria. W niedzielę rano samolotów nie było widać ale było widać, że coś się dzieje.

Z sąsiedniej celi zaczęli do nas pukać mówiąc: "Nie wyglądajcie przez okna, bo już zaczynają strzelać i z "pietucha" mogą strzelać i ręce przestrzelić jak się trafi cymbał". To była niedziela. Poniedziałek. Wtorek to był św. Jan. Zjedliśmy śniadanie. Spaliśmy pod narami, pod pryczami, bo było ciasno a my późno przyszlismy do tej celi. Ja spałem. Cała nasza paczka była razem. Zapert sobie tam tak ładnie śpiewał: Umiał dobrze śpiewać. Zjedliśmy śniadanie i tak sobie leżymy. I suche ryby były do tego śniadania na dodatek i chleby już więcej. Nagle pierwsza bomba. I nasza cela była najwyżej w budynku i narez odłanki po ścianie pa..pa..pa.. Pierwsza bomba spadła i trafiła w bramę więzienia i ta brama znalazła się pod naszą ścianą, bo my byliśmy od tej strony. Druga strona bramy znalazła się na ulicy.

Druga bomba trafiła w kuchnię, nabiła kucharzy. Trzecia bomba trafiła

w "pietucha", co tam był na strażnicy, a czwarta już poszła na stację i reszta też tam.

My już wiedzieliśmy i przesiedzieliśmy bez obiadu. Nie było jedzenia bo ^{tylko} stara kuchnia się została i nie wystarczała. I na kolację też było pół porcji jedzenia. Po kolacji zaczyna się robić ruch na sali ale nie było wiadomo co się robi, jak się robi. Od 22-go już podwoili wartę przy drzwiach. Zamiast jednego dyżurnego, co prawda bez broni, ale było dwóch. Do ubikacji puszczali już mniejsze grupy. A 24-go czerwca to już było widać, że jest wojna. Siedział z nami taki lotnik z Poznania. Ona się nazywał Mierzwiak. To pamiętam. I on mówił: "Panowie, nie denerwujcie się. Wojna to śmierć. Ja się bałem mówić. Wojna się zaczęła w niedzielę." On wiedział bo zaczęła strzelać ostra artyleria.

Ruch się zaczął ale nie dlatego, że nas zaczęto wywoływać, ale to przywieźli więźniów z Grodna /ich wypędzili z Grodna/. Nie dali ich do naszej celi, bo my byliśmy już po wyrokach.

Przywieźli ich z Grodna tak jak stali: w piżamach, w kalesonach, bez ubrań. Nie dali im się ubrać. Przywieźli ich do Mińska i rzucili do sąsiedniej celi obok naszej. A potem jak już nam kazali "zebrać się z wieszaczami" to znaczyło, że będziemy wychodzić. Gdyśmy wyszli na korytarz, to już zastaliśmy tych więźniów w bieliźnie, których przepędzili z Grodna. Ponieważ myśmy siedzieli na najwyższym piętrze to wychodziliśmy ostatni. Ponieważ nasza cela była przy samej ubikacji więc również na naszym piętrze myśmy wychodzili ostatni.

Na jednej stronie korytarza były trzy cele i na drugiej trzy cele. To razem 6 i był ten budynek przedzielony na połowę to na drugiej stronie było też 6 cel. Myśmy wychodzili ostatni. Nas wypędzano jako ostatnią grupę. I to wtedy spotkaliśmy tych więźniów co przyjechali z Grodna. Oni opowiadali, że przyjechali z Grodna bo ich wywołali w nocy z więzienia i przywieźli pociągiem do Mińska. Jedną noc nocowali w Mińsku i potem już szli dalej ale nie w naszej grupie. Później z naszej celi to się zrobiło więcej niż jedna grupa. Nas podzielili a myśmy szli chyba jako ostatni. Nie wiem, czy za nami szła jeszcze jedna grupa, czy też nie. I wygnali nas wszystkich.

Przez okno widzieliśmy jak wyprowadzali wszystkie grupy. Najpierw wyprowadzali kobiety. Później wyprowadzali "koniusznię", potem szpital. Ze szpitala kto chciał wstać i iść - to poszedł. A kto nie chciał iść, udawał chorego. To gdy wszyscy, którzy chcieli iść wyszli, to kankawuści zaszli od góry i wówczas zastrzelili Gustawa Schmossera. To wiem napewno, bo siedział ze mną w "przejściówce" wójt z Kołodeczna i mówił "Gustek udaje chorego. On nie pójdzie, bo on "krank"."

Oni leżeli obok siebie na łożkach. Ten wójt to był gruźlik. Gustek mówił, że on komunista, ale był szpiegiem. Ja się uczyłem 2 lata po niemiecku to trochę rozumiałem i Gustaw lubił ze mną pogadać. Gdyśmy wychodzili z Mińska to już było jasno. Już było widać. Myśmy nawzajem już się dobrze widzieli. Niezbyt może wyraźnie ale dobrze. Przebiliśmy się przez tę zbombardowaną dzielnicę, przegnali nas i wypędzili. Szliśmy przez miasto i o wschodzie słońca byliśmy już za centrum miasta. Wyszliśmy na przedmieścia. Co było po drodze to już wszyscy wiedzą. To wcale nie było takie piękne, o nie! To było wcale złe. Pierwszy człowiek, który zemdleł to był taki dziedzic w wieku lat 60, on tam był skądś z tamtych terenów wschodnich. Z nim siedział ktoś z jego majątku, czy wioski albo może sąsiad i on go wspomagał. Chciał mu pomagać iść ale to był starszy człowiek i jak takiemu serce zacznie nawalać to nie wiadomo, czy się zaraz nie wykończy. A co z nami sobą to myśmy wiedzieli. Idąc jako ostatnia grupa widzieliśmy pełne rowy trupów. Wiedzieliśmy więc czym "pachnie" ta cała robota. Co to się zanosi i co to będzie. I on, ten dziedzic, pierwszy zemdleł w naszej grupie. On jako dziedzic, kiedy go wzięli do więzienia, to miał i koc, i pleć i inne rzeczy, bo on wiedział, że idzie siedzieć na dłużej. Ten chłopak, co mu pomagał iść, to miał dwadzieścia kilka lat. Ten chłopak powiedział: "Niech pan to wszystko rzuci". Na to dziedzic odpowiedział: "Obojętne, czy ja rzucę czy nie, bo i tak ze mną koniec. Nic z tego. Nie chodzę rok czasu, choćbym nic nie miał do niesienia to dalej nie pójdę. Ja czuję co się ze mną robi. Chcesz to weź moje rzeczy, a mnie nie prowadź, bo zemdlejesz. Ja stary to mnie nie szkoda." To jego pierwszego zabili. A potem to ja nie wiem. Nie ma co wstawiać nie sprawdzonych nazwisk. Jeśli się nie mylę i na kresach takie nazwisko istnieje, to on się nazywał Daukszewicz. Ale za to nie daję nawet 10%, że tak jest, może się mylę. Tego chłopaka to ja wcale nie znałem bo oni z nami nie siedzieli, tylko później z nami szli. Ten Seweryn Karwowski to zginął. Jak nas wyprowadzili z więzienia to przyszli enkawuści i rozdzielali nas na grupy. Z Karwowskim Sewerynem siedział brat jego matki, czyli wujek Pieniążek ze wsi Biodry. Na imię miał Piotr. Ja jakbym przeczuwał mówiłem: "Seweryn chodź z nami". Ale on został w ostatnim rzędzie z wujkiem. Nas ustawili w rzędy. My znaleźliśmy się po drugiej stronie. On został z wujem, który miał conajmniej pod 50-tkę. Pieniążka nie zastrzelili. Wróć, a siostrzeniec Seweryn został zastrzelony. Wuj miał dwa razy tyle lat co siostrzeniec. Wuj powiedział, że Seweryna zastrzelili w jego oczach.

Szliśmy 2 dni i 2 noce. Dali nam bułkę chleba. Wody to się gdzieś jakoś napilo i tak się szło. U nas to było z tym dobrze. W naszej grupie było ok. 150 osób. Doszliśmy pomyślnie do Czerwieni tylko dzięki temu, że z nami było dużo chłopów wojskowych. Doszliśmy do Czerwieni jak trzeba. Wojskowi powiedzieli nam jak trzeba iść, żeby człowiek się nie zmęczył. Recepta nie była zbyt cenzuralna. Jak nas zatrzymali na pierwszy postój, to w pierwsze czwórki daliśmy ludzi najsłabszych i najsłabszych. Pierwszy postój był gdy szły samoloty, to oni nas wypchali w rowy leżeć, żeby nie było widać kolumny marszowej. Jak potem wstawaliśmy to powiedzieliśmy: "Najlichsze chłopy naprzód!" Kowojenci się darli, ale nic nie pomagało. Wszyscy udawali, że ledwie lażą, że nie mogą iść. W naszej grupie zabili mało, chociaż po drodze widzieliśmy pełne rowy trupów. Najgorzej wyglądali ci co nie byli pozabijani od razu. Kiedy szliśmy, taki stary człowiek jak ja dziś, z przestrzeloną głową szedł po takim suchym piachu, grzebał nosem po piachu. To było straszne patrzeć na niego. Przed Czerwienią Karwowskiego Władka wlekliśmy 5, czy 6 km pod pachy. Wiedyc miasto to nazywało się Ihumeń, za sowietów - Czerwień, a teraz znów Ihumeń. No i tak przyszliśmy do więzienia w Czerwieni. W więzieniu nie było wcale miejsca. Do Czerwieni doszliśmy tak około godziny 10.00. Ja nie zapisywałem dat, ale nocowaliśmy w rowie. Kowojenci zegnali nas na jedną stronę żebyśmy nie uciekli. Można było uciec, gdyby wszyscy ruszyli naraz. Oni nie mieli broni automatycznej tylko karabiny ręczne. Sami ledwie szli. To byli młodzi enkawudziści ledwie wzięci do wojska.]

[W Czerwieni wszyscy popędzili do łazienki umyć się i moczyć nogi bo my nie zdejmowaliśmy obuwia przez 2 dni. Po zdjęciu butów już by się ich ponownie nie włożyło. Jak by noga wyskoczyła z buta to byłaby o 1/3 większa. Poszliśmy do łazienki, kraty zapchaliśmy szmatami, napuściliśmy wody i tak w niej staliśmy. Potem położyliśmy się pod murem. Pod zachodnim murem, gdzie słońce już nie świeciło i po obiedzie dali nam zjeść po pół litra kaszy.

Każdy po jedzeniu się położył. Ja nie wiem jak kto, ale ja spałem jak kamień, miałem ciasne buty. Teraz dałem nogom trochę swobody, bo założyłem kapciuchy uszyte ze szmat i spałem jak kamień. Mogliby mnie zastrzelić i też bym nie słyszał. Kolega Chrostowski Piotr, co go wspominałem, przyszedł i zaczął mnie w bok szturchać kułakiem mówiąc: "Czego ty leżysz? Wszyscy już uciekają a ty jeszcze leżysz. Inni już w nocy nie nabrali kaszy, cukru. Wstawaj!" - Ja się zebrałem. Odszukałem te buty i spiąsałem je tylko sznurkiem. Na ramię to, co miałem i do bramy w tych kapciach. Brama otwarta. My wyskoczyliśmy przez bra-

bramę. Wojsko idzie, jadą na motocyklach. Patrzą na nas, my na nich. Nie było wiadomo co się dzieje i co robić. Oni się patrzą na otwartą bramę więzienia, to był tłum wychodzących. Jedni na prawo, drudzy na lewo. Oni się zatrzymali. Oni zdębieli i my. Ale ponieważ oni już dostali tego strachu, tego że to Niemiec idzie to oni pojechali i zrobiła się przerwa na tej drodze, bo motocyklistów jechało tylko trochę. Wtedy my przeskoczyliśmy przez tę jezdnie, przez szosę na drugą stronę, bo to była taka ulica. Tam była struga. Przez tę strugę przeleźliśmy przez wodę. Uliczką w bok i przez strugę, a tam był las. Wpadliśmy do tego lasu. Tu mogliśmy odetchnąć. Jak się dojdzie do domu nikt nie wiedział, ale już nikt nie będzie nas pędził. Takie było wyjście z tego więzienia. Opowiadał mi, Krystowczyk, co go potem zabił sąsiad /zastrzelił/, że to ich grupę wypędzili i rozstrzeliwali w lesie. My wyszliśmy z bramy prosto przez ulicę, a tych na rozstrzelanie pognali w prawo.

Nagrała w dniu 30 marca 1996r.
i przepisała: Joanna Januszczak
81-317 Gdynia, ul. Warszawska 25 m.23
tel. /058/ 20-84-96

Aleksander Piekarski
Warszawa-Łomianki ul. Staszica 3
tel. syna 751-23-03